Na szczytach świata. Część 1.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty.



Plakat do autorskiego projektu, fot. i oprac. Anna Borecka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pani autorką projektu „200 szczytów świata”. Do tej pory zdobyła już pani 50 gór. Na czym polega ten projekt?

Anna Borecka:

Moim celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach na świecie. Jest to pionierski projekt, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Jednak tych gór jest trochę więcej, niż

dwieście. W Kolumbii są dwie wzniosłości o podobnej wysokości, Cristóbal Colón i Simón Bolivar (5775 m). Nie wiadomo, która z nich jest trochę wyższa, więc trzeba wejść na obie. Natomiast w niektórych państwach afrykańskich są nawet trzy wierzchołki do osiągnięcia, bo nie ma dokładnych pomiarów, a różne plemiona uważają, że to na ich terenie jest najwyższy pik. Ja zdobyłam 50 szczytów, w większości podróżując autostopem w pojedynkę. Projekt realizuję od pięciu lat i w tym czasie weszłam na 31 najwyższych gór. Jednak niektóre z nich zdobyłam zespołowo i w różnych latach. W sumie mam w swojej kolekcji **Ararat** (5137 m), **Demawand** (5610 m), **Elbrus** (5642 m), **Aconcagué** (6960 m) i wszystkie najwyższe szczyty lub punkty w europejskich państwach, poza Białorusią. Ostatnio dołączyły do nich **Dżabal Tubkal** (4167 m) w Maroku czy **Pico do Fogo** (2829 m) na Cabo Verde. Z jednej strony to dużo, a z drugiej, to dopiero ćwierć projektu. Jednak jestem optymistką. Skoro pół roku temu porzuciłam pracę w pewnej firmie, żeby zawodowo realizować moje górskie marzenia, i zajmuję się teraz promocją projektu, to wkrótce pojawi się ktoś, kto do mnie dołączy. A razem możemy zrobić więcej. Dzięki moim publikacjom i prezentacjom mam już w Polsce i innych krajach zwolenników, którzy swoją popularną „Koronę Europy” przekształcają w „Koronę Globu”. Cieszy mnie to, że inspiruję innych do poznawania świata i realizacji marzeń na wysokim poziomie. (Śmiech)

Jednak większość entuzjastów mojej idei działa standardowo.

Zazwyczaj ludzie organizują szybkie i drogie wyjazdy na pojedyncze góry. Ja podróżuję tanio, ale wolno, bo autostopem, i przez kilka tygodni zdobywam klika szczytów w sąsiadujących państwach. Kiedyś realizacja takiego globalnego projektu była pobożnym życzeniem, a teraz to kwestia doświadczenia, determinacji i finansów. Ja w dwóch pierwszych dziedzinach jestem dobra, ale w trzeciej, to muszę się jeszcze sporo nauczyć. Dotychczas wiele rzeczy robiłam wolontaryjnie lub za niewielką opłatą: prezentacje, artykuły, książki, a także pomoc innym. Teraz marzy mi się długa wyprawa na 3, 6 lub 12 miesięcy, żeby realizować trzeci etap projektu, czyli **32 Piki Ameryki**. Teoretycznie jestem już przygotowana, fizycznie chyba też, bo trenuję po półtorej godziny dziennie. Muszę tylko zrobić jakiś wielki skok, żeby znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. A potem, w miarę szybko i bezpiecznie zdobywać kolejne wulkany, wzgórza schowane w dżungli lub wspinać się na zacne sześciotysięczniki. Na niektóre z nich potrzebuję partnera wspinaczkowego, bo w pojedynkę to strach. Jestem więc na kolejnym życiowym zakręcie, ale oczami wyobraźni widzę tylko górską drogę w stronę szczytu. Ktoś więc musi mi pomóc, bo człowiek nigdy nie jest sam. Ktoś, kto znajdzie swoje miejsce w projekcie „200 Szczytów Świata”.



Zbieranie informacji przed wyprawą, fot. Michel Evers.

Jak się Pani przygotowuje do wypraw?

Przed wyprawą do Chin poświęciłam aż cztery miesiące na przygotowania, a w drodze spędziłam trzy miesiące. To jednak była moja druga samotna ekspedycja i jak na razie najdłuższa. Teraz mam taką zasadę, że każda rzecz musi być wielofunkcyjna, bo inaczej nie jedzie ze mną na wyprawę. Za karę zostaje w domu, siedzi w kącie i czeka do mojego powrotu. Wtedy ponownie weryfikuję, co powinnam wziąć, a co zostawić. Przed wyjazdem robię *casting*, ważę, mierzę i wybieram tę rzecz, która jest najlżejsza. Żeby zminimalizować ciężar bagażu odcinam nawet metki od ubrań. Zamiast butów trekkingowych zabieram

buty do biegania. Pakuję śpiwór o połowę cieńszy, ale i lżejszy, niż powinnam mieć. Podobnie jest ze sprzętem wspinaczkowym, biorę tylko niezbędne minimum: dwa karabinki, trzy taśmy, jedną śrubę lodową, raki i czekan. A innym razem zabieram tylko pozytywną afirmację i nadzieję na szczęśliwy powrót. I oczywiście złoszczę się na siebie, gdy czegoś brakuje mi w górach, gdy moknę na drodze, gdy marznę w namiocie. Pakuję się więc skrupulatnie, ale minimalistycznie, a i tak mam 20 kilogramów w plecaku. Informacje o trasie i górach czerpię z Internetu, czasem podpytuję też znajomych. Mapy otrzymuję z zaprzyjaźnionej „Księgarni Podróżnika". Tanie bilety lotnicze, na wyspy-państwa, wyszukuje mi córka, Kalinka. A Kuba, mój zięć, pomaga mi w tematach fotograficznych. Znajomy artysta-podróżnik, czasem da jakąś dobrą radę. Okazjonalnie ktoś inny pomoże w załatwieniu jakiejś sprawy.

Jak Pani dba o zdrowie i urodę w podróży?

Zabieram ze sobą miniręcznik i minikosmetyki, więc trudno mówić o dbaniu o urodę. Po zejściu z gór, moimi zdjęciami można by straszyć dzieci. Poważnie! W górach nie ma mowy o makijażu, ale przed powrotem do cywilizacji muszę chociaż „zrobić oko", żeby nie przerazić dorosłych.

Do niedawna uważałam, że najlepszymi kosmetykami dla kobiety są górskie słońce i wiatr. Jednak ostatnio zmieniłam zdanie, bo to

prawdziwe SPA: solarium, sauna, lifting i masaż w jednym. Często są nawet bicze wodne lub krioterapia – opuszki u rąk, palce u nóg oraz stopy przymroziłam już kilka razy. Po peruwiańskim słońcu miałam poparzenie twarzy drugiego stopnia, więc skóra zeszła mi z niej całkowicie, ale stopniowo. Najpierw wyglądałam jak pomarańcza obierana po kawałku, lecz po jakimś czasie miałam buzię gładką, jak pupcia niemowlaka. Przed bliznami na twarzy uchronił mnie zwykły „Dermosan", który dostałam od kolegi z grupy. Znów miałam szczęście, chociaż w górach można znaleźć lepsze kosmetyki, niż w teatralnej garderobie. No i charakteryzację ma się lepszą, niż niejeden aktor… w horrorze. Standard, to twarz spalona słońcem, spuchnięta i z lekkimi odmrożeniami, usta broczące krwią, a włosy zniszczone i potargane. Ja po dłuższym wyjeździe doprowadzam się do porządku przez kilka dni. Za to woda w górach jest cudna, rześka i zdrowa, byle nie ta z lodowca. W Europie najlepsza jest w Islandii i Szwecji, tak przynajmniej twierdzą Skandynawowie.



Wysokogórskie selfie – Pik Rozdzielenia (6148 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Kiedy odkryła Pani w sobie pasję wspinaczkową?

Wkrótce po urodzeniu dziecka. Poważnie! Ale zacznę od początku.

Moja przygoda z górami zaczęła się, gdy miałam 12 lat. W Beskidach zachwyciłam się pięknym widokiem i powiedziałam, że zawsze chcę chodzić po górach.

Na pierwsze taternickie ścieżki weszłam zaraz po zdaniu matury.

W trzecim tygodniu ciąży zdobyłam **Żabi Szczyt Wyżni** (2259 m), a niedługo potem córka otrzymała tatrzańskie imię. Wtedy jeździliśmy rodzinnie w Tatry, ja z mężem i z siostrą. Byliśmy stałymi bywalcami szałasu na Rusinowej Polanie, a tam rosło piękne drzewo kaliny. Tak narodził się pomysł imienia dla naszej Kalinki. A potem rodzinnie podnieśliśmy sobie poprzeczkę. W skałach Krystyna poznała swojego przyszłego męża, Roberta, więc wspinaliśmy się w dwóch zespołach, w kobiecym i męskim.

Gdy zostałam mamą przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra i powiedziała, że zapisuje się na kurs wspinaczkowy. Ja na to, że też bym chciała, ale jestem już żoną i matką. Nie miałam jeszcze wtedy 22 lat, ale wydawało mi się, że na wiele rzeczy jest już za późno. Siostra stwierdziła jednak, że w życiu zawsze trzeba iść naprzód, więc poszłam.

Jesienią chodziłam na kurs teoretyczny, a wiosną miałyśmy razem kurs praktyczny w Górach Sokolich, koło Jeleniej Góry. Moja córka miała dziewięć miesięcy, gdy zaczęłam się wspinać. I to w oryginalny sposób, bo byłam zabalsamowana niczym mumia. Jako „Matka Polka z Karmiących" nie mogłam sobie poradzić z nadmiarem pokarmu, ale Krystyna znalazła na to sposób. Była wtedy pielęgniarką, więc codziennie przed wspinaczką bandażowała mi tułów. I tak zdałam egzamin. Od razu złapałam wspinaczkowego bakcyla. To była duża adrenalina i strach, ale też radość z pokonywania trudności technicznych.

Ważyłam wtedy 53 kilogramy i z ciekawością uczyłam się poruszania w pionie. W pasie miałam 62 cm, a alpinista szyjący mi uprząż wspinaczkową stwierdził, że takiej szczupłej klientki to jeszcze nie miał.

Pamięta Pani swoją pierwszą wyprawę?

Najpierw były wyjazdy wspinaczkowe w Sokoliki, potem w Tatry i Alpy, weekendowo lub wakacyjnie. Wspinaliśmy się związani liną, na drogach trójkowych lub czwórkowych. Na pierwszą wyprawę, w dodatku komercyjną i w dużej grupie, wyruszyłam w Kaukaz, w 2003 roku. W ciągu 26 dni wspięliśmy się po skale na szczyt mierzący około 3900 m, potem na **Uiłpatę** o wysokości 4644 m, jeszcze weszliśmy na **Czeget Karabaszi** (3753 m), **Kurmutau** (4045 m) i na oba wierzchołki **Elbrusu** (5642 i 5621m). Było trochę wspinaczki pod okiem zawodowego instruktora z Białorusi, a trochę trekkingu na niezbyt trudne, ale wysokie bałuchy.

Jednak w życiu zawsze miałam pod górkę. Na pięć dni przed tą wyprawą musiałam wezwać pogotowie. Przestałam widzieć, serce waliło mi jak młotem i bałam się, że zemdleję. Miałam jakiś wstrząs anafilaktyczny, bo antybiotyk, który brałam, ponoć był już rzadko zalecany przez lekarzy. Pogotowie chciało mnie zabrać do szpitala, a ja na to, że mam opłacony urlop i niedługo wyjeżdżam. Nie przyznałam się, że przez prawie miesiąc będę

dźwigać 30-kilogramowy bagaż na Kaukazie. Potem z trudem spakowałam się, a gdy zakładałam plecak, to przewróciłam się pod jego ciężarem. No, ale za trzecim razem udało się. Żeby zregenerować siły, w czasie dwóch dni podróży pociągiem, dużo spałam. W Północnej Osetii nocowaliśmy w starym zamczysku i tam miałam kolejny atak, na szczęście już słabszy. Wtedy pomógł mi jeden z uczestników wyjazdu, były komandos, który znał zasady pierwszej pomocy. Potem jeszcze zasłabłam w górach, na chwilę przed tym, jak dopadła nas lawina. Jednak nie przyznałam się, co się ze mną dzieje. Byłam zdziwiona reakcją niektórych osób, bo ta lawina nie była wcale taka duża. Ja bardziej bałam się, że padnę z powodu trefnego antybiotyku, niż niewielkich bryłek śnieżno-lodowych.

Potem były inne wyprawy grupowe: na **Aconcagué** w Argentynie (6960 m), na **Pisco** (5752 m) w Peru. Był też wyjazd wspinaczkowy na siedem czterotysięczników w masywie Monte Rosa, we Włoszech. Dzięki temu zdobyłam doświadczenie, potrzebne do realizacji samotnych wypraw: przez Karpaty na Ararat, autostopem do Chin – ze wspinaczką powyżej 6000 metrów, autostopem w góry niemal całej Europy, a ostatnio nawet Afryki.



Na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5642 m n.p.m.), fot. ze zbioruAnny Boreckiej.

Kiedyś wspinała się pani zespołowo, teraz samotnie. Czy coś się stało, że zdecydowała się Pani na tak odważne, samodzielne wyprawy?

W latach 2001 – 2006 wspinałam się w męskim gronie, ale w różnych, często przypadkowych zespołach. Weszłam wtedy na takie szczyty, jak **Triglav** (2863 m), **Mont Blanc** (4810 m), **Grossglockner** (3798 m) i wspomniane powyżej góry. Wspinałam się też w lodospadach Słowackiego Raju i w austriackim Maltatalu. To był nowy żywioł i fascynacja naturą: 20 stopni mrozu, zamarznięty wodospad i niebywała cisza. A ja,

uzbrojona w czekany i raki do wspinaczki lodowej oraz trochę szpeju, szłam znów w pionie. Najpierw wspinaliśmy się „na wędkę", a potem w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Chłopaki nie pozwalali mi prowadzić, bo oni mieli po 10-15 lat doświadczeń we wspinaczce lodowej, a ja byłam świeżynką. Parę razy poszłam więc na żywca, czyli sama i bez asekuracji, na niewielkich lodospadach. No więc raz czy dwa pozwolili mi prowadzić.

Latem 2006 roku nastąpił przełom, bo umówiłam się online, na wspinaczkę w Sokolikach, z kimś, kogo nie znałam. I wtedy przeszłam drogę wspinaczkową, na której zginął mój mąż – Darek. Oczywiście nic o tym nie powiedziałam nowemu koledze. Dowiedział się o mnie trochę więcej, gdy spotkaliśmy się jakieś pół roku później i wręczyłam mu swoją pierwszą książkę, pt. „Alpinizm – życie na haju". W niej opisałam nie tylko zabawne historie ze wspinaczki zespołowej i zdobywania gór do 2006 roku , ale też wypadek Darka, moją traumę i antidotum na nią, jakim po latach okazały się znowu góry.

W roku 2007 postanowiłam, że nie będę się już wspinać. Jednak w 2008 roku zginął w górach mój znajomy, a jego żona poprosiła mnie o zajęcie się akcją ratowniczą i sprowadzeniem ciała do Polski. Wtedy przeżyłam kolejną traumę, a jak się z niej otrząsnęłam, to paradoksalnie, postanowiłam zorganizować samotną wyprawę. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej nikt mi

na niej nie umrze.



Wspinaczka w lodospadach Słowackiego Raju, fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Mówi Pani o śmierci w górach. Gdy oglądałam film dokumentalny Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, targały mną różne emocje, od podziwu po żal. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego alpiniści zakładają rodziny, dlaczego narażają bliskich na życie w wiecznym strachu? Pani też straciła w górach męża w 1992 r. Nie umiem sobie wyobrazić traumy, którą

musiała Pani przejść, zostając sama z dwuletnią córeczką. A jednak… dalej Pani zdobywa szczyty.

Niestety, każdy alpinista naraża swoich bliskich na wielki stres i w tym jest egoistyczny, ja także. Jednak organizując samotne wyprawy, wybieram góry w granicach moich możliwości fizycznych, zdobytego doświadczenia i trudności wspinaczkowych. W moim projekcie „200 Szczytów Świata" jest wiele zwykłych, turystycznych gór, lecz te, na których trzeba zawalczyć, są po prostu bardziej zacne. Te mnie najbardziej cieszą.

A jeśli chodzi o tamtą sprawę, to… Darek miał 25 lat, gdy zginął, a ja miałam 24 lata. Córka miała wtedy dwa latka i przykrywała mnie tetrową pieluszką, gdy płakałam zwinięta w kłębek. Przez wiele lat czułam się winna, że pojechaliśmy na wspinaczkę w czwórkę, a wróciliśmy w trójkę, że dziecko straciło ojca, że ja żyję… Dzięki mojej mamie podźwignęłam się, bo kazała mi żyć dla córki. Dopiero po czternastu latach całkowicie wyszłam z traumy, właśnie wtedy, gdy przeszłam skalną drogę, na której zginął Darek. Napisałam o tym w książce, bo to było moje osobiste *katharsis*. Z córką do dzisiaj jestem silnie związana emocjonalnie. Czasem nawet zamieniamy się rolami, gdy ona mi trochę matkuje, jednak bardziej jesteśmy przyjaciółkami.

Co takiego jest w samotnych wyprawach, że tak Panią

pociągają?

Mam kilka powodów do organizacji samotnych wypraw, jak wolność, ciekawość świata i ludzi oraz notoryczny brak kasy. No, taka jest prawda. Z jednej strony jestem organizatorem, liderem i uczestnikiem, więc robię wszystko tak jak chcę, biorąc pod uwagę znikome fundusze. Z drugiej strony cieszę się z poznawania nowych krajów i ciekawych osób, oraz radzenia sobie na autostopie lub w górach. Odkryłam też nowe umiejętności, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Jest to błyskawiczne podejmowanie decyzji w sytuacji zagrożenia, w kontaktach z ludźmi i w czasie walki z żywiołami. Jest to totalna koncentracja podczas solowej wspinaczki w obcym terenie. Jest też trening mentalny przed i w czasie wyjazdu, oraz powtarzanie mantry, że spotykam tylko dobrych ludzi. Wreszcie jest to korzystanie z intuicji. Są też piękne spotkania z ludźmi o pokrewnych duszach, którzy od razu wydają mi się znajomi. Są bajeczne krajobrazy, jest czas na fotografię i na zadumę. To ta niezależność tak mnie pociąga. Poza tym, nikt nie brzęczy mi nad uchem, opowiadając o swoich problemach w czasie, kiedy powinien skoncentrować się na drodze lub pięknie otaczającego świata. Góry są też świetnym miejscem na oczyszczanie psychiki z przyziemnych spraw oraz organizmu – z miejskiego smogu. Tak, niektórym ludziom wyjazdy górskie powinny być zalecane na receptę. (Śmiech) A ja mogę te recepty wypisywać.

Bywają też niezwykłe spotkania z przyrodą. Kiedyś rozbiłam namiot nad jeziorem, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na wysokości 3000 metrów. I przyszła do mnie górska kozica. Wskoczyła na duży głaz i spojrzała w dół. Gotowałam wtedy zupę na kuchence turystycznej. Kozica mnie widziała, a jednak stała na kamieniu z wyciągniętą szyją, wdychając zapachy. Ostrożnie sięgnęłam po aparat fotograficzny, jednak ona była szybsza. A szkoda, bo miałaby piękny portret z odległości dwóch metrów, jako zdjęcie profilowe na fejsbuku. (Śmiech)



W górach Sierra Nevada do koleby przyszła górska kozica, fot. Anna Borecka.

Czy dla Pani góry to jest rodzaj uzależnienia?

W górach czuję się jak w domu. Wielu ludzi boi się dzikiej natury, żywiołów, trudów, ucieka od niewygód i niebezpiecznych sytuacji. A ja gdy idę w góry, to gęba śmieje mi się od ucha do ucha. To jest mój raj na Ziemi, bo góry są święte. Dopiero tam człowiek dostrzega, jaki jest mały, i że jest tylko cząstką natury. Wtedy wszystko wydaje się bardziej proste. Łapie się dystans do wielu spraw i do samego siebie. Wówczas przychodzi mi na myśl, że nie muszę nic, wiec mogę wszystko. Mogę wreszcie realizować swoje marzenia.

Bywają też chwile grozy, gdy proszę Boga, żeby dał mi choć jednego człowieka. To jest dziwne, ale czasem łatwiej jest wspinać się po oblodzonej grani, gdy ktoś jest obok. Nawet, gdy to jest ktoś obcy i działający samodzielnie. Chociaż miałam niezwykłe przeżycie w drodze na Mont Blanc, w czasie śnieżnej zadymki. To było moje drugie spotkanie z tą górą, jednak przy okazji, bo moim głównym celem było wspięcie się na **Mont Blanc de Courmayer** (4748 m), najwyższy szczyt Włoch. Było dosyć stromo, zimno i ślisko, a ja byłam sama, w dodatku w minirakach – z sześcioma zamiast dziesięcioma zębami. Ręce przymarzały mi do czekana i kijka trekkingowego, ostrza raków słabo wchodziły w lód i zaczęłam się bać. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, spłynęła na mnie dziwna cisza. Pomyślałam wtedy, że to nieważne, co się za chwilę stanie, bo ja już tutaj zostawiłam swój

ślad. Gdybym nawet spadła z tej grani, to nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież należę do tej góry tak samo, jak ona należy do mnie. To było wtedy takie oczywiste, że uspokoiłam się i ruszyłam dalej.

Czy góry uzależniają? Tego nie wiem. Dla mnie to jest zew. W pewnym momencie jakaś góra zaczyna za mną chodzić, więc i ja muszę do niej iść, żeby się przywitać, poznać bliżej i mieć własne zdanie na jej temat. Z resztą, myślę, że z wzajemnością. (Śmiech) A poważnie mówiąc, to góry są niezłą szkołą życia, nauką o wolności w ekstremalnych warunkach.



Wschód słońca w drodze na Mont Blanc (4810 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Dalszy ciąg rozmowy z Anną Borecką, o przemierzonych krajach, spotkanych ludziach, przygodach w górach, życiowych celach i nauce, jaką otrzymuje się od gór – ukaże się w piątek 15 marca 2019 r.

O Annie Boreckiej:

https://www.cultureave.com/sukces-2018-50-gora-sposrod-200-sz

czytow-swiata/